Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Nr. 12 (362) WARSZAWA, 16 czerwca 1926 r. ROK XIX



Nr. 12 (362) Warszawa, 16 czerwca 1926 r. Rok XIX

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Wychodzi dwa razy miesięcznie: 1-go i 16-go.

KONTO ZWIĄZKU P. K. O. 8082. ADRES: NOWY - ŚWIAT Nr 35. TELEFON 7-98

PRENUMERATA: roczna wynosi 20 zł., półroczna — 11 zł., kwartalna — 6 zł. Numer pojedyńczy — 1 zł. 20 gr.
CENA OGŁOSZEŃ: Cała strona—80 zł., pół—50, ćwierć—30, ⅛—16, 1/16—10. Pierwsza i ostatnia strona — o 50% drożej. (Pierwsza strona liczy się bez kliszy tytułowej.)

DO SZ. P. PRENUMERATORÓW.

Szanownym Prenumeratorom półrocznym i kwartalnym przypominamy, że należy koniecznie przed 1-ym lipca odnowić prenumeratę.

Administracja „Łowca Polskiego" rozsyła często listy z prośbą o uregulowanie należności za prenumeratę lub za ogłoszenia. Na listy te często też nie otrzymujemy wcale odpowiedzi. Wobec tego administracja będzie zmuszona przedsięwziąć odpowiednie środki przeciw tym, którzy nawet nie odpowiadają na listy.

Administracja „Łowca Polskiego".



Gniazdo i układ jaj słonki.
(Scolopax rusticola L.)

50-letni Jubileusz Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

W roku bieżącym Małopolskie Towarzystwo Łowieckie obchodzi 50-letni jubileusz swego istnienia. Przez ten długi okres czasu M. T. Ł. nie tylko stało wiernie na straży etyki i praw myśliwskich, ale ująwszy w swoje ręce inicjatywę w zakresie łowiectwa, z godną podziwu energją prowadziło nawę Św. Huberta, zarówno w czasach spokojnych, jak i w ciężkich dniach zawieruchy bojowej.

Jeśli do dzisiaj zachował się w Karpackich puszczach niedźwiedź, jeśli jesienią rozbrzmiewa na połoninach potężny ryk króla gór-jelenia, to jest to jedynie zasługą Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego i jego niestrudzonego w swej pracy zarządu. — Pięćdziesiąt lat wytężonej, ciężkiej, lecz zawsze pełnej zapału pracy! Ale też i rezultaty piękne! Wszak dzisiaj Małopolska, pod względem kultury łowieckiej, jest jedną z najwyżej stojących ziem polskich; wszak nasze łowy Karpackie sławne są na cały świat!

To też zamykając uroczystością jubileuszową, pięćdziesięcioletni okres swej działalności M. T. Ł. z dumą może spoglądać na swe dzieło.

Jubileusz Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego jest dniem święta nie tylko dla małopolan, jest on dniem uroczystym dla myśliwych z całej Polski, jest to bowiem uroczystość najstarszej polskiej korporacji myśliwskiej, korporacji, która działalnością swoją służyć powinna innym za wzór. Przeżywając wraz z innemi radosne uczucia z powodu tego jubileuszu, redakcja „Łowca Polskiego" pośpiesza złożyć Małopolskiemu Towarzystwu Łowieckiemu najserdeczniejsze powinszowania oraz życzenia dalszej jaknajpomyślniejszej działalności.

Szczegółowy Program uroczystości 50-letn. Jubileuszu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego był następujący:

W środę dnia 16 czerwca.

O godzinie 8-mej z rana msza św. i poświęcenie ołtarza św. Huberta w kościele św. Elżbiety.

Członkowie Zjazdu zebrali się o godzinie 7.45 przed kościołem św. Elżbiety, by następnie wejść wspólnie.

O godzinie 11-tej doroczne Walne Zgromadzenie M. T. Ł. w sali Towarzystwa Gospodarczego, przy ul. Kopernika 20.

O godzinie 6-tej wieczorem uroczysta akademja w sali Kasyna Oficerskiego przy ul. Fredry, przy łaskawym współudziale Lwowskiego Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia", poczem nastąpiło zebranie towarzyskie w restauracji Hotelu Krakowskiego.

Program Akademji ustalono następująco:

1. Odśpiewanie kantaty przez Lwowskie Towarzystwo Śpiewackie „Lutnia" — Macierz.
2. Przemówienie Prezesa M. T. Ł. Juljusza hr. Bielskiego.
3. Przemówienie Delegata Rządu.
4. Przemówienie najstarszego z byłych wiceprezesów, ordynata Tadeusza Czarkowskiego - Golejewskiego.
5. Referat prof. Janusza Domaniewskiego członka M. T. Ł., p. t. „Geograficzne rozmieszczenie zwierząt łownych w Polsce".
6. Referat Dr. Witolda Ziembickiego, członka M. T. Ł., p. t. „Najstarsze pomniki polskiej literatury łowieckiej".
7. Na zakończenie ponowny występ Tow. „Lutnia".

W czwartek dnia 17 czerwca

O godzinie 9-tej z rana premjowe strzelanie na Strzelnicy wojskowej przy ul. Kleparowskiej, a to:

a) strzelanie z pistoletów;

b) strzelanie do tarcz stałych na 100 kroków:

c) strzelanie do tarcz stałych przez lunety na 300 kr.;

d) strzelanie małokalibrowe.

O godzinie 3—5-tej popołudniu zwiedzanie muzeum im. Dzieduszyckich, wieczorem o godzinie 8-mej wspólna wieczerza w Hotelu Krakowskim, przy pl. Bernardyńskim (strój zwykły).

W piątek dnia 18 czerwca.

Od godziny 9-tej z rana na Strzelnicy wojskowej dalszy ciąg strzelania do tarcz ruchomych i rzutków tudzież rozdanie nagród.

Z Centralnego Związku Polskich Stow. Łowieckich.

Posiedzenie Zarządu z dn. 10 czerwca 1926 r.

Obecni pp.: J. hr. Bielski przewodniczący, płk. W. Przeździecki, A. Wysocki, K. Świderski, W. Garczyński, Jan Sztolcman, W. Szperling, Wł. Słonczyński, A. Birar, Z. Wysocki; w charakterze gościa J. Oreński.

Odczytano i przyjęto do wiadomości protokuł z posiedzenia Wydz. Wykonawczego z dnia 16 marca 1926 r., sprawozdanie kasowe i biurowe.

Uproszono p. K. Świderskiego do reprezentowania Centr. Związku na uroczystościach jubileuszowych Małop. T-wa Łowieckiego.

Zarząd przeznaczył z funduszów Centr. Związku zł 200 na kupno nagrody na konkursowe strzelanie Mał. T-wa Łowieckiego i zł 150 na takąż nagrodę dla Wielkopolskiego Zw. Myśliwych.

Przyjęto w poczet członków Centr. Związku:

a) Tow. „Venator" ze Lwowa,

b) Koło Ofic. 24 p. ułanów w Kraśniku Lubelskim.

Zdefinjowano godność członków popierających Centr. Zw., ich prawa i obowiązki.

Wnioski w tej sprawie postanowiono przedstawić na najbliższy Zjazd Delegatów.

Przyjęto w zasadzie regulamin dla delegatów powiatowych Centr. Związku. Upoważniono Wydział Wykonawczy do ostatecznego zredagowania regulaminu, do opracowania wzoru legitymacji i pieczęci Centr. Związku mającej przedstawiać głowę żubra z napisem Centr. Zw. Pol. Stow. Łow. w otoku, jakoteż do wystosowania memorjału do Min. Spraw Wewn. o wydanie stosownego okólnika do województw w sprawie delegatów pow.

JAN SZTOLCMAN.

ŻUBR,

jego historja, obyczaje i przyszłość.

(Zob. Nr. 10 — 11).

PRZYCZYNY WYMIERANIA ŻUBRÓW ORAZ SPOSOBY ZAPOBIEGANIA TEMU.

Niezbędnem jest zastanowić się bliżej nad przyczynami wymierania żubrów, a tem samem ujawnić te błędy, jakie w ciągu dziesiątków, a bodaj setek lat popełniała administracja Białowieży, względnie czynniki kierujące gospodarką tego lasu; to nam bowiem posłużyć może za wskaźnik na wypadek, gdyby udało się żubry od ostatecznej zagłady uratować. Aby jednak sprawę tę należycie wyświetlić, niezbędnem jest sięgnąć do podstaw, jakiemi kieruje się prawidłowa gospodarka łowiecka.

W hodowli zwierzyny dwa są zasadniczo różne systemy, któreby można nazwać: hodowlą na dziko oraz hodowlą sztuczną.

Jakkolwiek w pierwszym z tych dwu systemów nazwa zdaje się być paradoksalną, to jednak w zupełności ją uznamy, zastanowiwszy się tylko na czem ona polega. Przy tym systemie pozostawiamy zwierzynę samej sobie, w niczem nie wpływamy na jej bytowanie, pozostawiając czynnikom naturalnym regulowanie życia danego gatunku. W jednym tylko kierunku otaczamy ją swoją opieką: chronimy ją od najzaciętszego jej nieprzyjaciela, to jest od człowieka, ustanawiając bardzo surowe prawa przeciw temu, co w łowiectwie nazywa się kłusownictwem; jak również zapewniamy jej niezbędny spokój przez usuwanie z rewiru wszystkiego, coby ten spokój naruszyć mogło. Pozatem zostawiamy zwierzynę jej własnemu przemysłowi. I wtedy odbywa się wśród osobników danego gatunku to, co Darwin nazwał d o b o r e m n a t u r a l n y m, a który polega na eliminowaniu przez czynniki naturalne osobników słabszych. Tak więc, czy to w czasie bardzo surowych zim, kiedy wskutek nagromadzenia śniegów naturalna karma staje się trudno dostępną, czy w walce z drapieżnikami, jak wilki, rysie, niedźwiedzie i t. p. ulegają wyniszczeniu osobniki słabe, cherlawe, źle rozwinięte, chore, a zostają przy życiu zwierzęta silne, które utrzymują rasę na odpowiedniej stopie do walki z przeciwnościami. Ten system — i jak się zdaje — z dobrym skutkiem zastosowały Stany Zjednoczone względem bizonów w Yellowstone-Parku.

W hodowli sztucznej akcja człowieka zastępuje naturalne czynniki przyrody. Opiekę swą nad danym rodzajem zwierzyny człowiek manifestuje w rozmaity sposób. Przedewszystkiem stara się jeśli nie wytępić, to przynajmniej zmniejszyć liczbę drapieżników, które zagrażają bytowi danego gatunku, jak również zabiega, aby kłusownicy nie mogli grasować na terenie podlegającym ochronie. Aby zabezpieczyć zwierzynie dostateczną karmę na czas zbyt surowych zim, obsadza i obsiewa wszelkie linje leśne, polany, brzegi lasów roślinami pastewnemi lub drzewami i krzewami, których młode pędy, liście lub owoce służą za pokarm zwierzynie; a uważając to za niewystarczające, ustawia na całej przestrzeni rewiru paśniki, w których zadaje karmę sztuczną. Ustanawia przytem niezbędny dla zwierzyny spokój przez zamykanie dla obcych ludzi ścieżek i bocznych dróg, przez zakaz zbierania chróstu, grzybów, jagód i t. p.

Usunąwszy tym sposobem naturalne czynniki, normujące ilościowy i jakościowy stan zwierzyny, musimy je zastąpić sztucznym agentem, który w łowiectwie nazywa się o d s t r z a ł e m, a który bywa ilościowy i jakościowy. Pierwszy polega na wybiciu corocznem odpowiedniej ilości sztuk, wychodząc z tej zasady, że każdy rewir ma pewne ograniczone **maximum** danego rodzaju zwierzyny, którego to **maximum** przekroczyć nie można pod grozą zwyrodnienia naszych zwierzostanów. Odstrzał znów jakościowy polega na corocznem odstrzeleniu: 1) nadetatowych samców, których zwykle rodzi się znacznie więcej, aniżeli samic, zwłaszcza w zwierzostanach sztucznie prowadzonych; 2) bardzo starych samic, które wskutek starości straciły płodność; 3) wszelkich sztuk źle zbudowanych, słabych, cherlawych, słowem tych, które nie zapowiadają się jako dobry materjał rozrodczy.

Stosowanie powyższych prawideł przy sztucznej hodowli jest warunkiem **sine qua non,** bez którego wszystkie inne zabiegi chybią napewno celu. Nie zapominać też powinniśmy o tem wielkiem prawie przyrody, które chce, że im większy jest dany gatunek leśny, tem większych przestrzeni leśnych wymaga do swego bytowania, zwłaszcza, jeżeli ten gatunek ograniczony został do jednego jedynego obszaru leśnego, skąd nie może robić wycieczek do okolicznych kompleksów leśnych.

Otóż pierwszym kardynalnym błędem naszych królów, a także cesarzowej Katarzyny II było, że uszczuplili znacznie obszar Puszczy przez rozdarowywanie lub wydzierżawianie na długoterminowe okresy czasu znacznych obszarów leśnych, wykrawanych z obrębu Białowieży.

Fatalnie też wpłynąć musiało na stan żubrów zainstalowanie w Puszczy zakładów przemysłowych, jak hamernie i potażarnia, oraz idące za tem osiedlanie tak zwanych „budników", którzy wraz z „osocznikami" utworzyli wśród Puszczy liczne osady. Nie mówiąc już o tem, że z tej ludności puszczańskiej rekrutowały się całe falangi kłusowników, ale nadto osadnicy ci wprowadzali do ostępów Puszczy niepokój i hałas, tak szkodliwe szczególnie w czasie rozmnoży zwierzyny, oraz rozpuszczali wszędy swój inwentarz po łąkach i pastwiskach, które z natury rzeczy należały się żubrom. Już Gloger wspominał, że inwentarze okolicznych mieszkańców dziesięciokrotnie przewyższały ilość żubrów, a pastewniki, obejmujące znaczną część Puszczy, ogrodzone były płotami. Tym sposobem żubry miały znacznie ograniczone pastwiska.

Bardzo ciekawe co do tego podał szczegóły Gliński. Według niego przestrzeń tak zwanych „łąk żubrowych" wynosiła w Puszczy około 1000 dziesięcin (blisko 2000 morgów). Licząc po 25 pudów przeciętnie z dziesięciny i 500 żubrów (bez cieląt), a przeciąg czasu, kiedy karmiło się żubry samem sianem — na 4 miesiące, otrzymamy, że na każdego żubra wypadało dziennie 16 funtów siana, gdy doświadczenia czynione w celach obserwacji lub w ogrodach zoologicznych wykazały, że żubr zjada dziennie najmniej pud siana i 4 do 6 garncy owsa. Ta więc ilość siana, jaką żubry w Puszczy dostawały, wynosiła zaledwie ⅓ niezbędnej do ich egzystencji.

Büchner, który w swej pracy szczegółowo wyegzaminował przyczyny wymierania żubrów, za jedną z najważniejszych uważał brak paszy. Według niego dawniej co 3 lata wypalano łąki, poczem wytwarzała się bujna wegetacja; z czasem jednak zaniechano tego doskonałego środka użyźniania łąk. Nadto wydzierżawiono najlepsze łąki chłopom, którzy zjeżdżali z całym taborem, co bardzo płoszyło żubry. Dopiero od 1875 roku administracja zaczęła oddawać chłopom inne pastwiska na skrajach Puszczy, dokąd żubry nigdy nie zachodziły.

Ten krzyczący brak paszy powiększył się jeszcze znacznie z chwilą, kiedy rozpoczęła się w Białowieży lekkomyślna, a raczej bezmyślna hodowla wszelkiej innej zwierzyny, jak jelenie, daniele, sarny

i dziki. Kto był inicjatorem tego absurdu, nie wiem, wypada on jednak według Genthe'go na rok 1889, kiedy — jak powiada ten autor — zamieniono dawny, niemiecki kierunek administracji na nowy — rosyjsko-czeski. Był to błąd szalony, boć przecież dziecko nawet mogło wiedzieć, że wymieniona zwierzyna — z wyjątkiem jedynie dzików, a w części łosi, karmić się będzie kosztem żubrów, które i tak nie miały za wiele tej paszy. Jelenie, daniele, sarny — można rozhodować w pierwszym lepszym lesie, pocóż więc było forsować hodowlę tej tuzinkowej w porównaniu z żubrami zwierzyny w jedynej niemal ostoi tych ostatnich.

Zanim rzucimy okiem na statystykę zwierzyny białowieskiej przed wojną, zaznaczyć muszę, że jeleni dawniej w Białowieży nie było, gdyż niema o nich wzmianki tam, gdzie jest mowa o rezultatach wielkich łowów. Tak np. na polowaniu, urządzonem w 1752 roku przez Augusta III, padło 42 żubry, 13 łosi i 2 sarny, a o jeleniach niema wzmianki. Również w sprawozdaniu o łowach, urządzonych przez Aleksandra II niema mowy o jeleniach, a natomiast w relacji z 1897 roku znajdujemy, że padło wówczas 25 jeleni. Kiedy ten rodzaj zwierzyny został do Białowieży wprowadzony — nie wiem. Znajduję tylko wzmiankę w „Die Hohe Jagd“ że w 1893 roku ks. Pless otrzymał z Białowieży 5 żubrów **w zamian za jelenie.**

Statystyka zwierzyny białowieskiej w okresie przedwojennym wykazuje cyfry fenomenalne. Już w roku 1910 liczono oprócz 730 żubrów; 124 łosie, 5177 jeleni, 1402 daniele, 4334 sarny i 1842 dziki, czyli 13.619 sztuk grubej zwierzyny.

Rok wojny (1914) zastaje zwierzostan białowieski jeszcze bardziej wzmożony. Oprócz 737 żubrów mamy: 59 łosi, 6778 jeleni, 1488 danieli, 4966 sarn i 2225 dzików — razem **16253 sztuk grubej zwierzyny na przestrzeni 128000 hk.** czyli prawie 13 sztuk grubej zwierzyny na 100 hk., gdy doświadczenie uczy, że jeleni np. można hodować maksymalnie 3 do 5 sztuk na tej przestrzeni.

Czytając sprawozdania o tych przesadzonych zwierzostanach, czułem, że to jest bezmyślny zamach na żubry białowieskie i już się szykowałem do wygotowania odpowiedniego memorjału, aby go przesłać ówczesnemu ministrowi dworu, hr. Fredericksowi w celu wykazania wielkiej krzywdy, jaka się dzieje żubrom, gdy oto wybuchła wojna i sprawy poszły innym, niespodziewanym torem. Polska odzyskała niepodległość, Białowieża wróciła do niej, lecz, niestety, odarta z największej swej ozdoby. Odzyskaliśmy ten las cudowny, ale bez żubrów.

Skutki tej fatalnej gospodarki łowieckiej nie dały długo czekać na siebie. Przedewszystkiem łosie, które lubią spokój i doskonale współżyły z żubrami, wywędrowały na wschód, unikając niepokoju, jaki ruchliwsze od nich jelenie, daniele i sarny sprawiały. Dość jest porównać statystyki z lat 1910 i 1914, aby się o tem przekonać. Ponieważ chodzi nam tu głównie o żubry, więc nad tem wywędrowaniem łosi z Białowieży możnaby przejść do porządku dziennego. Stokroć gorszą była zaraza, która nawiedziła Białowieżę w 1908, 1909 i 1910 latach, a która już do 20 lipca 1909 roku wymiotła z Białowieży 1104 sztuki różnej zwierzyny, w czem sporo żubrów.[1]) Zarazę tę przepowiedział na 2 lata przedtem lekarz weterynarji, ziomek nasz, dr. K. Wróblewski, który zwiedził Białowieżę, jako członek ekspedycji Petersburskiej Akademji Nauk. Władze jednak nie zwróciły uwagi na to jego ostrzeżenie i nie przedsięwzięły żadnych środków zaradczych.[2])

Prof. Ekkert podał za przyczynę choroby, która nawiedziła Białowieżę w 1908 — 1910 latach, lasecznika septicemii hemoraicznej (**Septicaemia haemorrhagica bovum**), gdy tymczasem wspomniany tylokrotnie p. Gliński z Białegostoku uważał tę cho-

[1]) W roku 1908 padło na tę zarazę 40 żubrów. Nie mam danych, wiele ich padło przez 2 następne lata.

[2]) Dr. Wróblewski za główną przyczynę wymierania żubrów uważał nadmierne rozmnażanie się jeleni.

WŁODZIMIERZ KORSAK

Wspomnienia z Turkiestanu.

II.

W PUSTYNI.

(Dokończ. Zob. Nr. 10 — 11).

Głosy stawały się wyraźniejsze, szły skądś od wstającej zorzy, płynąc z góry, z pod iskier gwiezdnych. Miękkie i gruchające o specjalnej, tęsknej modulacji, odzywały się coraz wyraźniej, aż poczułem je tuż blizko w wirowym nad sobą locie. Rozległ się lekki szum i poświst skrzydeł, poczem cisza znów nastała. Zrozumiałem, że nadleciało pierwsze stadko stepówek i siadło przedemną na błotku.

Klęcząc za krzakiem, wytężałem wzrok w stronę zagadkowych przybyszów, lecz całun czarnej nocy krył wciąż ziemię, chociaż niebo z każdą chwilą jaśniało coraz wyraźniej. Biały poblask pierwszego świtu nasiąkał żółtą barwą, cieplejszą i miększą.

Niebawem znów usłyszałem tęskne głosy i nadleciało drugie stadko, kołując nad błotkiem. W chwili, gdy były naprzeciwko zorzy, dojrzałem nieuchwytne sylwetki, prujące powietrze z szybkością strzały. Jednak o strzelaniu mowy jeszcze być nie mogło.

Rozwidniało się szybko. Gdy nadleciało trzecie stadko, ujrzałem je wyraźnie na tle wschodu, wygięte w łukowatą linję, mknące chybkim polotem nad śpiącą pustynią. I te siadły gdzieś przedemną. Do następnego stadka mogłem już strzelić, więc w chwili gdy, kołując, zniżało się ku ziemi, dałem ognia kolejno z obu luf. Zafurkotały w odpowiedzi porywające się z ziemi ptaki i rwały w dal, przerażone hukiem i ogniem strzałów. Rezultatu nie mogłem widzieć, ale słyszałem jakby odgłos spadającego ptaka.

Im silniej rozpalała się zorza, tem więcej nadlatywało stepówek. Strzały moje grzmiały prawie bezustanku. Zestrachane stada śmigały na wszystkie strony, odlatywały hen, niknąc z oczu, lecz po chwili zjawiały się znowu, kołując i krążąc w powietrznej przestrzeni.

Niektóre stada były bardzo liczne, inne nie przenosiły 10-ciu sztuk. Spostrzegałem pewną różnicę w głosach ptaków. Jedne, przeważnie w większych stadach lecące, wydawały tony wyższe, dźwięczniejsze i bardziej tęskne, inne, zwykle nieliczne, krzyczały grubiej, ostrzej, chrapliwiej. Niebawem też i w ubarwieniu spostrzedz mogłem różnice: jedne z nich, nieco większe, miały coś czarnego od spodu, co w wysokim locie widać było wyraźnie.

Gromady ptactwa zlatywały się coraz liczniej. Przestałem strzelać, chcąc widzieć i obserwować ptaki zblizka. Nie zwracając uwagi na moją postać, skurczoną za krzakiem, nalatywały tuż blizko, krążąc coraz niżej, aż wreszcie, furkocąc skrzydłami, pierwsze stadko opuściło się na ziemię na brzegu

robę za spowodowaną przez motylicę wątrobianą (**Fasciola hepatica L. vel Distomum hepaticum**). Tego samego zdania był Auer, a także i Büchner z tą tylko różnicą, że Büchner podejrzewał raczej pasorzyta (**Dicrocvelium lanceolatum** Stil. et Hass, vel **Distomum lanceolatum**). Prawdopodobnem jest, że w różnych latach mogły grasować obie te zarazy, to jest septicemia i motylica.

(C. d. n.).

Wskazówki hodowlane.

Na czerwiec.

Powoli milkną wszystkie ptaszki w lesie. Jedynie głos kukułki rozlega się jeszcze ciągle po lesie i po niwach. Lato idzie. Nasz drobny rój śpiewaczy cofnął się tam, gdzie pobudowane są gniazda, by wychowywać potomstwo i kształcić je. Większe ptaki ukończyły już także swe harce, kwoki wysiadują, i ptak królewski, głuszec, dał pokój swej „grze". Rośliny i nasiona leżą w łonie matki — ziemi. Teraz nadchodzą egzaminy sprawności i umiejętności myśliwego-hodowcy.

Kto już na jesieni nie myślał o tem, żeby swą rolę głęboko zorać i nawieźć ją obornikiem lub kompostem, ten teraz będzie miał smutne żniwo. Albowiem już w pierwszych dniach po wydobyciu się roślin z pod ziemi osądzić można, jaki ich los będzie. Dużo obiecujące rośliny rozwijają się silnie, mając liście błyszczące, podczas, gdy te, od których nie można oczekiwać nic dobrego, są przezroczyste i cienkie. Tego rodzaju rośliny i zboża cierpią na niedostatek azotu i innych materji odżywczych, a przeto nie idą należycie w górę, a zazwyczaj jeszcze podlegają zniszczeniu przez różne pasorzyty ziemne.

Wybitny wyjątek pod tym względem stanowi łubin, zwłaszcza podczas suchego roku. Jedynie z początku często trwa całe tygodnie, zanim podniesie się w górę. Potem jednak idzie już szybko naprzód. Podobnież bywa u niektórych innych gatunków roślin i zboża. Nie należy przeto tego rodzaju pól zasianych przyorywać zawcześnie, lecz trzeba jakiś czas poczekać.

Czerwiec jest porą, w czasie której hodowca powinien także zwracać szczególną uwagę na płody warzywne. Należy je pielić i grunt uczynić pulchniejszym. Jeżeli na liściach tych roślin ukazuje się robactwo, co szczególnie się zdarza podczas rzadkich opadów i wielkiego upału, to należy rośliny posypać raz lub dwa razy proszkiem gipsowym, lub wapiennym. Po deszczu, lub rano, kiedy jeszcze jest rosa, czas jest na to najodpowiedniejszy, gdyż wtedy proszek przystanie mocno do liści. W czerwcu możemy także częściej oblewać juchą krzaki jagodowe i dzikie owoce.

Od 20-go czerwca do końca pierwszej połowy lipca każemy zbierać liście na zimę, które mają wtedy najlepszą konsystencję i nie łamią się.

W końcu czerwca zaczynamy już na niektórych miejscach kosić łąki, koniczyska i lucernę. Przed rozpoczęciem tych robót, bierzemy psa i szukamy przy jego pomocy, czy wśród łanów, które mają być skoszone, niema gniazd. Wyżeł już nas do nich zaprowadzi. Oznaczamy je, obstawionemi wokoło, gałęziami i polecamy kosiarzom, albo człowiekowi, kierującemu kosiarką, aby pozostawili wokoło przestrzeń o 4-metrowej średnicy. W wielu razach płoszymy przy tej czynności kurę — już to cieciorkę, już bażancicę, lub kuropatwę — wysiadującą o tym czasie; gdy jednak to się dzieje w ostatnich dniach lęgu, to kura nie schodzi z jaj. Że tak bywa w praktyce, stwierdzić może każdy mający styczność z rolnictwem. Kiedy wszakże stanie się raz nieszczęście i gniazdo ulegnie skoszeniu, przez co kura doń nie wraca, to trzeba jaknajprędzej jaja albo podłożyć kurze domowej, albo umieścić je w sztucznej wylęgarni.

---

błotka i wnet, biegnąc szybko ku wodzie, znikło w trawie. Natychmiast zaczęły nadlatywać inne, aż powietrze zaroiło się nademną, a na twarzy poczułem wiatr od licznych skrzydeł.

Właśnie też i słońce wyjrzało z poza piaszczystych barchanów i oblało złotem wspaniały widok kłębiących się w powietrzu ptaków. Tuż blizko widziałem niektóre na ziemi i zachwycałem się ich harmonijnemi i nad wyraz zgrabnemi ruchami. Siedząc spokojnie, kręciły główkami i wyciągały szyje kolistym ruchem, to znów przebiegały szybko z miejsca na miejsce, skurczone w sobie, z wystawionym poziomo ostrym ogonem, nieuchwytnie przebierając krótkiemi nóżkami. Powietrze wibrowało wkoło od delikatnych gruchających tonów, wydawanych przez siedzące ptaki, które ugasiły już pragnienie i coraz liczniej wybiegały z trawy na suchy brzeg, aby tu strzępić i muskać dzióbkami pióra, wstrząsać się i najeżać w jaskrawych promieniach radosnego słońca. Nieuchwytne te głosy, spotęgowane przez nieskończoną ilość wydających je gardziołek, napełniały powietrze przeciągłym, jednostajnym tonem, przedziwnie zharmonizowanym z otaczającą pustynią, blado błękitnem niebem i złotemi strzałami słońca.

Byłem tak olśniony i oczarowany, że zapomniałem o strzelaniu. Zdawało mi się, że jestem cząstką tej otaczającej mię przyrody, że czuję w sobie samym te pierwotne instynkty, rozkazujące tysiącom ptaków cieszyć się z nadejścia dnia, odczuwać rozkosz cudownego poranka i niczem nieograniczonej swobody dzikich dzieci pustyni. A ptaki, jakby przeczuwając moje przeżycia, nie zwracały na mnie najmniejszej uwagi, roztaczając przed memi oczami barwny światek swych przyziemnych krzątań i niezrównany koncert złączonych w jeden hymn głosów.

Siedziałbym tak bez końca, patrząc i słuchając, gdy wtem, w chwili gdym się przyglądał najbliżej siedzącej parce, która czuliła się do siebie, jak para gołębi, i to całowała się dzióbkami, to muskała się wzajemnie po piórach głowy i szyi, — zafurkotały nagle skrzydła na przeciwległym brzegu błotka i ujrzałem zbliżającą się postać Garula.

Zatrzęsło się powietrze od skrzydeł porywających się tysięcy ptaków. Wir jakiś powstał mi nad głową, a jednocześnie pierzchła ułuda wspólnej sielanki, a do serca napłynęła ostrą falą przemożna żądza łowiecka. Zerwałem się z za krzaku i wystrzeliłem dwa razy do odlatujących ptaków.

— Czemu malo strelal? — pytał Garul.

Machnąłem tylko ręką, nie wiedząc jak wytłumaczyć staremu dzikusowi moje odczucia. On też nie pytał więcej i zaczął mi pomagać w odszukiwaniu zabitych sztuk.

Wydeptując starannie trawę na błotku, znaleźliśmy 14 sztuk stepówek, a prawie drugie tyle leżało na suchych brzegach, wyraźnie widoczne na tle stwardniałego mułu. Oglądając zblizka zabite ptaki, przekonałem się, że istotnie miałem przed sobą dwa gatunki. Większa, z ciemną plamą na brzuchu, była to stepówka czarnobrzucha,[1]) a nieco mniejsza, upiększona żółto-rdzawym pasem

[1]) Pterocles arenazia.

Drapieżnikom trzeba także poświęcać baczną uwagę w pięknej porze czerwcowej. Przed pierzastymi rabusiami chroni obecnie drobną zwierzynę morze kłosów, w których ona się ukrywa, lecz tutaj tembardziej wystawiona jest na niebezpieczeństwo ze strony drapieżników sierciowych. Dobrze zasłonięte i przeciw wiatrowi podkradają się one do swej ofiary, poczem jednym skokiem łowią i mordują sarniątko, zajączka, lub kurę wysiadującą. Szczególnie tam, gdzie się zagnieździ liszka ze swemi młodemi, położenie jest rozpaczliwe. Czerwona ta rodzina morduje zwierzynę dniem i nocą, przyczem matka uczy młode gorliwie sztuki drapieżniczej. Trzeba tedy obchodzić pola zbożowe, zwłaszcza o późnej godzinie popołudniowej, albo wcześnie rano, zwracając szczególną uwagę na ścieżki, drogi i bruzdy, po których drapieżniki ciągną najchętniej. Trzeba jednak pamiętać także o strumieniach, ukrytych w polach zbożowych, oraz o skoszonych łąkach, na których należy dobrze myszkować, i wreszcie o kupkach piasku, w których drapieżniki biorą chętnie kąpiele słoneczne. Tutaj, prędzej niż gdzieindziej, natrafić można na lisiątko i poczęstować je kulką.

W gaikach i remizach trzeba zastawiać pułapki skrzynkowe, gdyż tutaj przebywają najchętniej łasice i koty. Przedewszystkiem też uważać należy, czy włóczące się psy nie szerzą niepokoju w rewirze.

Takie towarzystwo może w niektórych rewirach całkowicie zrujnować zwierzostan. Conajwyżej uratują się matki i sztuki dorosłe, bezradne wszakże młode muszą zginąć. Trzeba tylko bardzo rano stanąć na drodze w oddaleniu paruset kroków od wsi, a napotka się niejednego psa, włóczącego się, oraz kota. Drapieżniki te można wystrzelać, albo wytruć, ale zabitej sztuki nie należy zostawiać na miejscu, lecz przynajmniej usunąć ją z drogi i gdzieś ukryć, bo inaczej wszyscy chłopi okoliczni będą źli, a konflikt z nimi jest niepożądany.

Pod względem myśliwskim miesiąc ten daje nam kozła, którym zadowolić się muszą myśliwi.

W czerwcu kozioł ma już dostatecznie „czerwoną" sierść, ale jednak jeszcze niewszystkie są czerwone: spotyka się, zwłaszcza, w początkach czerwca kozły jeszcze szare. O ile wiadomo, takie kozły, o późnem ubarwieniu, są przeważnie chore. Te same objawy występują także u sarn chorych na gzy w pysku, lub w skórze, oraz na motylicę wątroby; z takich chorych sztuk nie będzie już pożytku i dlatego należy je wystrzelać zawczasu, bo i tak rzadko która przetrzyma zimę.

Aczkolwiek wielu myśliwych ma zasadę, że kozła strzelać należy tylko kulą, to jednak nie zawsze potępić można tego, który kładzie go strzałem śrutowym. Wszakże przy takim strzale nie wolno przekroczyć pewnych granic oddalenia. Starać się bowiem winniśmy, ażeby kozioł bezwarunkowo padł w ogniu po strzale śrutowym. Jeżeli kozioł dostanie śrutem prosto na komorę, to padnie w ogniu na odległość 35 do 40 kroków, podczas gdy strzelone kulą kozły, pomimo postrzelenia płuc, serca lub wątroby, jeszcze będą uciekały, przechodząc nieraz nawet granice rewiru.

Trafionego kozła trzeba przedewszystkiem dobić, żeby się nie męczył, albo nożem myśliwskim, albo strzałem. Jeżeli chcemy go dobić nożem, to postępujemy według wskazówek poniższych: Bierzemy kozła lewą ręką za nos z góry i przyciskamy pysk ku szyi. W ten sposób powstaje między czaszką a pierwszym kręgiem szyjnym małe zagłębienie, w które zanurzamy wtedy ostrze noża. Trafi ono w móżdżek, w którym łączy się cały system nerwowy i spowoduje natychmiastową śmierć zwierzyny. Miękko usposobione natury, które nie mogą zanurzyć gołego ostrza w żywe ciało, powinny kozła dobić strzałem, a mianowicie w szyję, ażeby nie rozstrzelać dziczyzny. Wypatroszonego kozła nie należy kłaść odrazu do worka, lecz powinno się poczekać, aż należycie wyfarbuje i ostygnie. W tym celu

---

wpoprzek piersi — turkestańska odmiana stepówki obrożnej.[2])

Chodząc po błotku, zauważyłem odciski kopyt, więc na brzegu zacząłem je badać dokładniej. Były ich dwa rodzaje: jedne okrągłe, jak u konia, tylko znacznie mniejsze, a drugie podwójne małe raciczki, jak u naszej sarny. Domyślałem się ich sprawców, chcąc się jednak przekonać, przywołałem Garula i wskazałem mu na tropy.

— Kułan i dżejran prychadyt noczy pit, — wyrzekł.

Nie myliłem się zatem; były to tropy kułanów, czyli dzikich osłów pustyniowych, i lekkonogich antylop-dżejranów.

W powrotnej drodze nie było wykluczone spotkanie z tą piękną zwierzyną, ponieważ jednak miałem tylko dubeltówkę śrótową, więc nie mogłem liczyć na łowiecki rezultat, gdyż zwierzęta te, czujne nad wyraz, nie dają się podejść, ani podjechać na strzał. Możnaby jedynie próbować szczęścia z karabinu, ale i to na bardzo niepewną metę 400—500 metrów.

Powróciwszy do koni, zabraliśmy się do śniadania. Garul zdjął z grzbietu swego wierzchowca kurżumy, czyli sakwy podróżne i wyjął z nich podpłomyki, ser owczy i zimną, duszoną baraninę. Zaatakowałem przy pomocy noża te wiktuały, a że byłem głodny, więc smakowały mi znakomicie.

Dochodziła dziewiąta, gdyśmy dosiedli znów koni i ruszyli w powrotną drogę. Pociąg z Aszau do Aschabadu wychodził o 6-tej popołudniu, mieliśmy więc dziewięć godzin na przebycie 60-ciu kilometrów pustyni.

Konie, nakarmione ziarnem kukurydzy i napojone przy błotku, szły równym kłusem pomiędzy wysokiemi, porosłemi saksaułem barchanami. Z siodła oko ogarniało nieskończone, szaro-żółtawe morze pustyni, błyszczące gdzieniegdzie gładką biało-żółtą przestrzenią czystego piasku.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i zaczynało palić. Ruch koni płoszył tu i ówdzie drobne, szaro-płowe ptaszyny, w których rozpoznawałem pustyniowe wróble, pod barchanami leniwym krokiem czołgały się żółwie, znacząc na piasku swój dziwaczny, podwójny ślad. Na szczęście wstał od zachodu, od strony morza Kaspijskiego lekki wietrzyk i chłodził nieco spiekotę dnia, dającą się już mocno we znaki.

W samo południe zatrzymaliśmy się, by dać odsapnąć koniom. Zdumiony byłem ich wytrwałością. Po całej nocy forsownej drogi, szły teraz pod żarem słońca stosunkowo raźno, chociaż zlane były potem. Nogi aż po pęciny zapadały w sypki piasek, ale elastyczne i wyrobione na stal suwały się rączo, niby po bitym gościńcu.

A gdy po dłuższym w pół drogi odpoczynku dojeżdżaliśmy nareszcie do Aszau, słońce schyliło już ku zachodowi swą złotą głowę, niebo nad widnokręgiem zabarwiło się przepięknym fioletem, a na jego tle świeciły w różowo-złotych ostatnich blaskach przecudne ruiny dawnej świątyni, otulone w miękkie piaski pustyni, odległe od wrzawy ludzkiej, wspominające zadumanem czołem czasy dawnej chwały.

---

[2]) Pterocles alchata Sewertzowi.

zawiesza się kozła na gałęzi drzewa, tylnemi nogami ku dołowi. Ażeby zaś muchy, które się zaraz zlatują, nie kładły jajeczek w świeżą dziczyznę, wypycha się kozła liściami lub wrzosem.

Po wystrzale zważać jeszcze na znaki, dane przez kozła. Jeżeli on opada ku tyłowi, to otrzymał bezwarunkowo strzał w łopatkę. Jeżeli odwraca się i ma grzbiet skrzywiony, to daliśmy strzał do wnętrzności. Po takim strzale sarna nie odchodzi daleko, lecz zazwyczaj przycupa. Po takich strzałach czekamy jakiś czas, aż nastąpi znaczniejszy upływ farby, poczem dopiero przejmujemy tropy. Można czekać nawet dobre pół godziny. Niekiedy kozioł odchodzi jakby zdrów zupełnie, nie dając żadnych znaków. Lecz i w takich razach podchodzimy do miejsca, gdzie zwierzyna stała podczas strzału, i sprawdzamy, czy gdzie niema odpadków sierci lub kropli farby. Jeżeli jednak brak także tych znaków, to powinniśmy jeszcze po upływie pewnego czasu udać się w kierunku, w jakim kozioł się oddalił. Przeszukanie powinno być główną zasadą myśliwego.



S. L.

W pieśń głuszca „na oko".

Źle z moimi uszami! Jeszcze kilka lat temu słyszałem kłapanie (telękanie) głuszca co najmniej na trzysta kroków . Rok temu odległość ta zmniejszyła się do kroków stu, a tej wiosny, bez końca podskakiwałem za moim przewodnikiem, jak cielę za krową, i gdy po raz pierwszy dosłyszałem „korkowanie", co, jak wiadomo, jest najgłośniejszym dźwiękiem całej pieśni — byłem od głuszca nie dalej jak na kroków czterdzieści.

Ogół myśliwych strzela do głuszców na toku z dubeltówek grubym śrutem, praktyka bowiem wykazała, że w ciemnościach, często wśród gęstych igliwi, trudno o precyzyjny strzał. Odległość przytem jest najczęściej bardzo mała i kula staje się zbyteczną. Ale satysfakcja upolowania głuszca ze sztucerka jest bez porównania większa i dlatego postanowiłem w tym roku po raz pierwszy strzelić do głuszca „w pieśni" kulą. Użyłem do tego nadzwyczaj precyzyjnego karabinka z lunetą „Tell", kalibru 5, 6 m/m, z kulą 3/4-ch opancerzoną, fabryki I. P. Sauer w Suhl.

Słyszałem, że w niektórych T-wach Myśliwskich wzbronione jest zasadniczo strzelanie do głuszców kulami. Nie jest to słuszne mojem zdaniem. W Poleskiem T-wie Myśl. wolno strzelać kulami, ale tylko do tokujących głuszców, podczas pieśni. Regulamin taki uważam za bardzo racjonalny. Wobec ograniczonej ilości głuszców do odstrzału, w tych warunkach, strzelanie kulami, raczej powinno być wskazane, jako etyczniejsze i bardziej klasowe. Oczywiście nie mam na myśli włóczenia się po tokowisku w biały dzień i strzelania „na upatrzonego", lub nawet do tokującego głuszca o wyjątkowo spóźnionej porze. To było by barbarzyństwem.

Doświadczenie tegoroczne przekonało mnie, że o ile możemy dojrzeć muszkę na lufach dubeltówki, to i wizjer będzie już widoczny, a tembardziej krzyżyk, czy słupek w polu widzenia lunety.

Przez pierwsze trzy ranki na „Madarynowej-Górze", żaden z zasadzonych głuszców nie grał. Później dowiedziałem się, że były one popłoszone przez uczących się „podskakiwania w pieśni", dwóch chłopców naszego objazdowego. Dopiero czwartego dnia, na innem już tokowisku „Welchowiec", udało mi się jednego ranka zabić dwa głuszce.

Pomimo solennie danego sobie przyrzeczenia, że do głuszców będę strzelał kulami, wychodząc na tok, prócz karabinka, zabrałem „dla pewności" i śrutówkę.

O godz. 1 m. 30 z rana, 24 kwietnia, stałem już w puszczy, a na kilka minut przed godz. 2-gą, świeżo upieczony przewodnik Michałko, syn starego Tomaszewicza, który właśnie, ucząc swoich synalków, popłoszył głuszce na Madarynowej-Górze, nieśmiało zrobił dwa kroki w pierwszą pieśń głuszca. Nic jeszcze nie słyszałem, ale głuszec musiał grać doskonale i prawie bez przerwy, bo szybko zbliżaliśmy się do celu. Wreszcie i ja dosłyszałem „korkowanie", o czem na wstępie już wzmiankowałem. Dalej sam postanowiłem podskakiwać, a że ciemno było jeszcze zupełnie, jakoś stchórzyłem i zamiast wziąć karabinek, pozostałem z dubeltówką w ręku. Po kilku zaledwie pieśniach dosłyszałem już wyraźnie kłapanie i zacząłem wypatrywać głuszca, wiedząc, że przy mojej głuchocie (nie słyszę gangu zegarka), muszę być od niego już niedaleko. I rzeczywiście jednego kroku dalej robić nie było potrzeby. Głuszec siedział pod koroną sporej sosny, na suchej bocznej gałęzi, zupełnie widoczny, nie dalej jak o kroków trzydzieści.

Teraz dopiero żal mi się zrobiło, że nie wziąłem sztucerka, gdyż muszkę widać już było dosyć wyraźnie. Wyboru jednak nie miałem, albowiem cała manipulacja, przywołania Michałka, stojącego za mną o jakie 20 kroków, dla zamiany dubeltówki na karabinek, była zbyt ryzykowna. Po trzech jałowych rankach, głuszca tego stracić nie chciałem, więc bez dalszego namysłu złożyłem się i strzeliłem śrutem.

Gdy głuszec upadł, posłałem Michałka, żeby go podniósł, a sam pozostałem na miejscu, zapalając papierosa. Zaledwie jednak Michałko odszedł kroków kilkanaście, zatrzymał się na dobrą chwilę, poczem zawrócił i cichutko do mnie powrócił. Pytam, dlaczego głuszca nie podniósł? „Proszę pana, tam każe drugij hraje, my etoho głuszca potom wozmiom". Czemprędzej rzuciłem papierosa, uwiązałem na znak chustkę do nosa na gałęzi, oddałem dubeltówkę, biorąc już tym razem do ręki karabinek i, po porozumieniu się, jak może być daleko głuszec, którego pieśń Michałko usłyszał, poleciłem mu podchodzić powolutku we właściwym kierunku bez pieśni, dopóki jej wyraźniej słyszeć nie będzie. Można było na to sobie pozwolić, gdyż głuszec grał dosyć daleko, a teren był miękki po wilgotnym mchu, sprzyjający do cichego stąpania. Uszliśmy tak ze 40 kroków, poczem Michałko, wyraźnie już w pieśń głuszca, zaczął podskakiwać.

Rozpacz mnie ogarniała, że ja, pomimo największego wysiłku i skupienia, nic usłyszeć nie mogłem. Wszakże cała prawie przyjemność polega na nasłuchaniu się tej tajemniczej pieśni. Miałem czas do rozmyślania nad swojem kalectwem, gdyż głuszec ten, sądząc z zatrzymania się Michałka, musiał ciągle przerywać, nie robiąc więcej jak dwie lub trzy pieśni z rzędu.

Podczas jednej takiej pauzy, czekając jak zmiłowania żeby Michałko dalej podskakiwał, zacząłem upatrywać, czy głuszca gdzie nie dojrzę. W wielu wypadkach, pomimo wyraźnej pieśni i bliskości głuszca, dopatrzeć go jest bardzo trudno, ale w danym razie warunki sprzyjały mi wyjątkowo. Podchodziłem bowiem w kierunku wschodu, przy dobrze już bielejącem niebie i w bardzo rzadkim lesie — a że wzrok mam doskonały, zaraz przy pierwszej lustracji drzew, dojrzałem mego głuszca siedzącego jak wrona na samym wierzchołku wysokiej sosny, w odległości conajmniej 150-ciu kroków. Jaka radość sprawiło mi to odkrycie, mówić nie potrzebuję. Jeżeli nie danem mi jest nasłuchać się pieśni, to przynajmniej napatrzę się dowoli.

Michałko stoi nachylony, a ja przyglądam się głuszcowi. Widzę, że nie gra, ale grać będzie, bo nie siedzi jak gołąb. Postawę ma głuszca tokującego, szyja i wachlarz prosto do góry. Mogę przysiądz, że kłapie w tej chwili, tylko na pieśń zdecydować się nie może. Po chwili dojrzałem znane mi tak dobrze, nieznaczne poruszenie skrzydeł i ogona, przy pionowym ruchu gardzieli. „Gra na pewno — Czego ten Michałko nie skacze?" Lecz zaledwie o tem pomyślałem, już Michałko susa dał przed siebie. Skoczyłem za nim i chwyciłem go za rękę. Zostań, szepnąłem... i zacząłem podchodzić głuszca w pieśń „na oko"!

Zdarzenie to niezwykłe i dlatego je opisuję.

Głuszec w dalszym ciągu grał z przerwami — nie spuszczałem go z oka. Ile razy wiadome ruchy dojrzałem, posuwałem się o parę susów, i w ten sposób zbliżyłem się do głuszca na odległość stu kroków. Dalej iść nie mogłem i nie miałem potrzeby, gdyż meta na strzał kulowy nie była wielka, a pomiędzy sosną, pod którą stałem, a tą, na której siedział głuszec, żadnego już drzewa nie było. Powoli, ostrożnie złożyłem się i zacząłem obserwować go przez lunetę mojego Tell'a.

Cóż to za cudny pejzaż — tokujący głuszec w polu widzenia lunety!

Długą chwilę lubowałem się tym przepięknym widokiem, zanim naciągnąłem szneler i pociągnąłem za cyngiel. Suchy, cichy trzask i mój ptak królewski spadł, jak kłoda śmiertelnie ugodzony.

Był to pierwszy mój głuszec kulą zabity, a 115-ty z kolei.

Z radością w duszy do szałasu powracałem. Szkoda jednak, myślałem sobie po drodze, żem obydwóch z karabinka nie zabił.

P. S. Po odesłaniu do Redakcji mojego „Głuszca na oko", dostałem Nr. 10-ty i 11-ty Łowca Polskiego i przeczytałem artykuł p. Mieczysława Tukałły „W obronie głuszca."

Uwagi szanownego i kochanego autora, na szczęście nie dotyczą mojego kulowego strzału, i nie wątpię, że p. Tukałło, w warunkach przezemnie opisanych, pogląd mój podzieli w całości. Zdziwiło mnie nawet, że u takiego myśliwego, jakim jest p. Mieczysław Tukałło z Boracina, mogli polować tacy niefortunni nemrodzi, jak p. p. W. i hr. K.!

STANISŁAW NOWAKOWSKI.

O słonce.

W jednym z Nr. Nr. Łowca P. była odezwa do myśliwych, ażeby zechcieli podzielić się swojemi obserwacjami o słonce. Przeczytawszy przypuszczenie, że słonka-samczyk wydaje chrap nie gardziołkiem, a kuperkiem, przyjąłem to z niedowierzaniem i postanowiłem sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest. Otóż rezultatem moich badań jest niezłomne przekonanie, iż ciągnąca słonka-samczyk, wydaje chrap i świst gardziołkiem — a nie kuperkiem.

W tutejszej okolicy ciąg słonek, pomimo obszernych błotnistych lasów i różnorodnych zarośli jest bardzo słaby. Bardzo udatnym ciągiem nazwać tu można taki, w czasie którego widzi się lub słyszy 3—4 ciągnące słonki. Dodam tu nawiasem, że w lasach tutejszych (Międzyrzec) są miejsca lęgowe słonek.

Pamiętam przed wojną, w drugiej połowie maja, gdy brzoza i olsza były już w pełni zieleni, słyszałem chrap słonek i widziałem dwie jak chrapały i ciągnęły. Znaczy to, że w czasie tym samiczki siedziały na jajkach, a samczyki z głośnym chrapem i świstem naokoło oblatywały.

Po zachodzie słońca i uśpieniu skrzydlatych śpiewaków, gdy jak duch bez najmniejszego szmeru, przelatuje tylko sowa lub lelek, zjawia się słonka, oznajmiając swój ciąg świstem i chrapem. Owe to głosy zwiastujące jej obecność, przyczyniają tyle rozkosznych wzruszeń zamiłowanym myśliwym, gdy zasiadłszy o zmroku, wytężając słuch i wzrok, z zapartym oddechem, wyczekują upragnionego ptaka.

Mając znakomitą francuską lornetę z pryzmatycznemi szkłami, które 8-krotnie powiększają, pojechałem na ciąg słonek do błotnistego liściastego obrębu, oddalonego o jakie 10 kilometrów od mego domu. Obrałem sobie miejsce na wyciętym przed laty zrębie, gdzie jako nasienniki pozostawiono pojedyńcze brzozy i olchy. Młody drzewostan powstały z odrośli tych starych drzew, oraz z ich nasion dochodzi tu do 3—4 metrów wysokości. Opisywany teren urozmaicają rozsiane gdzieniegdzie bagienka, łąki i pastwiska — słowem jest to wymarzone miejsce do zatrzymania się na przepędzenie dnia dla przelatujących słonek.

Usiadłem na pniu pod krzakami, mając przed sobą o kilka kroków polankę. Wieczór był prześliczny ciepły, i zanosiło się na deszcz, więc doskonały na ciąg słonek, które ciągną wtedy powoli, poruszając lekko i wolno skrzydełkami i wydając pisk, oraz przeciągły chrap. Podczas wieczorów zimnych lub wietrznych słonki ciągną szybko, wydając pisk i chrap. To znaczy, że samiczka ciągnąc wydaje tylko głos — pit-pit-pit, a samczyk zaś odzywa się hra-hra-pit-hra-hra-pit. O ile ciągnie parka, to podług moich obserwacji, — pierwsza zawsze samiczka, wydając głos — pit-pit-pit, samczyk zaś ciągnąc za samiczką, wydaje chrap i pisk, a więc hra-hra-pit-hra-hra-pit.

O ile ciągną trzy słonki, to przeważnie pierwsza ciągnie samiczka, a za nią dwa samczyki, z których drugi napada na pierwszego tego, który ciągnie tuż za samiczką, i uderza na niego skrzydełkami oraz dziobem, chce on zwalczyć swego rywala, zabrać jego miejsce i być bezpośrednio za samiczką; przy tym napadzie słychać tylko głos pit-pit.

Jak wiadomo ciąg odbywa się tylko wieczorem. Podniósłszy się w tej porze, słonki kilka razy obciągną wokoło danego miejsca, chrapiąc lub też wydając pisk i chrap; po obciągnieciu, czyli oblecenju, zapadają powtórnie na ziemię, przypuszczam, że na żer. Jeżeli nie mają zamiaru pozostać na kilka dni jeszcze, to ciągną dalej do miejsca stałego pobytu; w tym celu podnoszą się znowu, gdy jest już zupełnie ciemno i lecą szybko bez wydawania chrapu, odzywając się zrzadka pit-pit.

Tak samo rano — słonka, która przelatuje na miejsce odpoczynku na dzień, śpiesząc się, ażeby przededniem dolecieć do zarośli, lub lasu, ciągnie przez pola bardzo ostro i dość wysoko, wydając czasami tylko głos pit, ale nigdy nie chrapie. Dopiero po odpoczynku, wieczorem lub przed wschodem słońca, o ile ma zamiar jeszcze pozostać w danej miejscowości, krąży naokoło, wydając chrap i pisk.

Lecz wracam do rzeczy. Po usadowieniu się, zaledwie słońce zaszło, a było jeszcze zupełnie jasno, ptaki w najlepsze śpiewały i świergotały — widzę jak podniosły się dwie słonki i lecąc zupełnie wolno i nisko może 6—7 metrów nad ziemią — nie doleciawszy do mnie jakie 50 — 60 kroków, wprost przedemną spadły. Otóż byłem pewny, że podniósłszy się powtórnie, o ile kierunku nie zmienią, przeleca bardzo nisko obok mnie i tak się też stało. Po chwili, a zdawało mi się, że wieki czekam, podniosła się pierwsza, wydając głos pit-pit-pit, za nią druga — hra-hra-pit-hra-hra-pit.

Obserwując przez lornetkę tę drugą, a przy takiem powiększeniu mogłem obserwować ją doskonale, widziałem jak wydając głos hra-hra-pit-hra-hra-pit — poruszała gardziołkiem. Zatem z całą pewnością twierdzę, że chrap i pit wydaje słonka nie kuperkiem, a gardziołkiem. Po jakich 2 minutach — powróciły z powrotem wolno ciągnąc i chrapiąc — strzeliłem do drugiej, czyli chrapiącej i zabita okazała się samczykiem. W kilka dni, w innym obrębie, o kilkanaście wiorst odległym, rano, przed wschodem słońca, ciągnęły dwie, pierwsza dawała głos — pit-pit — druga — hra-hra-pit-hra-hra-pit — strzeliłem do pierwszej — okazała się samiczką, mającą 4 dobrze rozwinięte jajeczka.

Zatem jestem pewien, że słonka na ciągu wydaje głos tylko gardziołkiem a nie kuperkiem. Z obserwacji moich wynika, że nie powinno się strzelać słonki cicho ciągnącej, lub wydającej głos tylko pit, pit, bo to jest bezwzględnie samiczka, zaś chrapie tylko samczyk. Prawdziwy myśliwy, który umiłował tę przecudną przyrodę, który podczas wiosennych wieczorów wsłuchuje się w jej tajniki, gdy umilknie stopniowo rozhowór całej rzeszy przeróżnych ptasząt i nastąpi niczem nie zamącona cisza, z łatwością rozróżni po głosie płeć ciągnącej słonki. Strzeliwszy zaś do ptaka wydającego chrapanie, może być pewien, że zabił słonkę-samczyka.



J. ŻARNOWSKI.

Polowanie na kaczki i zachowanie się postrzałków.

Nie jednemu wydaje się, że polowanie na kaczki jest jednem z najłatwiejszych, nie nasuwających zbyt wielkich trudności. Jednakowoż strzały do kaczek, wydające się na pozór łatwemi, w rzeczywistości są niekiedy bardzo trudne. Prędzej tu zdarza się spudłować lub postrzelić, niż przy polowaniu na inną zwierzynę. Często bowiem dopiero po strzale, gdy kaczka zostaje pozornie unieruchomiona i spadnie czy to do wody, czy na suchą ziemię, zaczyna się właśnie intensywna praca dla myśliwego i dla psa. Pomimo wytężonej uwagi i najlepszej chęci myśliwego przy strzelaniu do kaczek, nie zawsze strzał bywa śmiertelny, powalający ptaka na miejscu; dlatego aby uniknąć beznadziejnego nieraz poszukiwania, a sobie zaoszczędzić nietylko czasu i trudu, ale także uchronić zdobycz od zaprzepaszczenia, należy się koniecznie starać, by jaknajrychlej postrzałka dobić.

Niestety, mamy bardzo wielu myśliwych, którzy nie zwracają uwagi na zasadnicze reguły zachowania się, przy wodnem polowaniu, wobec postrzelonej zwierzyny i stosują albo z nieświadomości, albo też z chciwości, fałszywą w tym wypadku oszczędność amunicji. Do postrzałka wahają się dać jeszcze jeden lub drugi strzał, a na innem miejscu natomiast do kaczek zrywających się, bez względu na odległość palą z obydwu rurek, zupełnie nie po myśliwsku, niszcząc przytem bezużytecznie naboje.

Jeżeli przy takiem strzelaniu uda się wogóle, że po jednym strzale, kaczka spadnie niby zastrzelona to zaraz takiemu myśliwemu przychodzi do głowy myśl oszczędzania naboi. Pocóż jeszcze więcej strzelać? Kaczka i tak już uciec nie może, a zresztą pies ją przyniesie. Tymczasem takie rozumowanie zawodzi bardzo często.

Przy zeskrzydleniu kaczki lub innego ptaka wodnego, należy mieć psa zaraz na pogotowiu, a zwłaszcza w trakcie spadania, gdy sztuka śmiertelnie raniona uderza na wodę. Przerażona wówczas o swój los, zapomina o zanurzeniu się i właśnie tę chwilkę czasu powinien myśliwy wyzyskać, chociaż taki stan rzeczy trwa zaledwie kilka sekund. Czasami takie zatrwożenie postrzałka, który nie wie, co się stało, trwa i dłużej, zdarza się nieraz, iż na widok zbliżającego się psa, ranna kaczka nie zanurza się, lecz głośno kwakając i trzepocąc się, usiłuje ratować się ucieczką.

W wypadkach, gdy pies zapóźno przybędzie na miejsce, gdzie kaczka się zanurzyła, traci ślad i staje bezradny, a kaczka tymczasem uczepiwszy się szuwaru w kępie lub pod brzegiem, po pewnym czasie zdycha i marnuje się bez korzyści dla myśliwego. Aby więc możliwości zagubienia zdobyczy uniknąć, należy postrzeloną kaczkę o ile możności dalszym strzałem dobić. Spotykałem wielu poważnych myśliwych, którzy trzymali się zasady, że do postrzelonej kaczki należy tak długo strzelać, dopóki nie przestanie się ruszać. Takie same prawidła wypadałoby stosować także wobec tych postrzałków, które spadają na ziemię; takie bowiem starają się natychmiast dosięgnąć najbliższej wody lub szuwaru, gdzie mogą nam bezpowrotnie zginąć, a czemu moglibyśmy zaradzić, posyłając takiej sztuce jeszcze jeden strzał. O tym strzale powinniśmy zawsze pamiętać, chociażbyśmy mieli do dyspozycji najlepszego psa.

Kaczki postrzelone nieśmiertelnie w głowę, siedzą niekiedy jakby zupełnie zdrowe na wodzie. Jednakowoż przy bliższem przyjrzeniu się zauważyć można, że pozycja głowy jest nienormalna. Czasami kaczka postrzelona w głowę opuszcza ją na wodę, skrzydła rozpościera i leży tak bez ruchu. Każdyby wówczas myślał, że taka kaczka jest nieżywa, a tymczasem nieraz w mgnieniu oka potrafi nam zniknąć z oczu.

Podobne objawy również zauważyć można, gdy kaczka zostaje postrzelona w oczy. Tam, gdzie na wodę po strzale upadnie, zostaje i kręci się przytem w miejscu dopokąd może. Jeżeli natomiast zbliża się ktoś dla niej podejrzany jak człowiek, pies lub łódź, natychmiast zanurza się pod wodę.

Z całą pewnością możemy być przekonani, że kaczka jest zupełnie nie żywa, gdy leży na wodzie, brzuchem obrócona do góry.

To są moje skromne spostrzeżenia, z któremi podzielić się chciałem z nowicjuszami zakonu św. Huberta. Mam też nadzieję, że w obecnym sezonie kaczych polowań, nie jeden z nas będzie miał sposobność zaobserwowania podobnych wypadków.



JANUSZ DOMANIEWSKI.

Przegląd polskiej literatury łowieckiej.

Bolesław Świętorzecki „Wilk". Monografja. Bibljoteka Myśliwska Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego. Tom VI/VII. Warszawa 1926.

Ta ostatnia praca p. Świętorzeckiego, zdaniem mojem, jest bezsprzecznie najlepszą ze wszystkich monografji myśliwskich, jakie się ukazały w ostatnich czasach w języku polskim. Autor traktuje w niej temat rzeczowo i stosunkowo obszernie, a że ma dar pisania treściwego i jasnego, więc czytelnik korzysta z książki bardzo wiele. Specjalną zaletą książki jest to, że autor materjały do niej czerpał ze swego bogatego doświadczenia myśliwskiego; literatura była mu tu jedynie uzupełnieniem, podkreślam to dlatego właśnie, że aż nazbyt często spotykamy się w literaturze łowieckiej z książkami,

w których rzecz się ma wręcz odwrotnie, z drugiej jednak strony, jako krytyk, traktujący omawianą książkę poważnie, zaznaczyć muszę, że autor niedostatecznie uwzględnił literaturę przyrodniczą, na skutek czego do książki wkradło się nieco usterek. Na niektóre z nich pozwolę sobie tutaj zwrócić uwagę.

Tak więc na początku rozdziału pierwszego, poza wilkiem europejsko-azjatyckim autor rozróżnia następujące odmiany: „wilka północno-amerykańskiego (Canis occidentalis Rich.), rozpowszechnionego od Meksyku do Grenlandji, wilka, zamieszkującego Tybet i Mongolję (Canis Manco, lub Canis laniger), wilka indyjskiego (Canis pollipes Sykes) oraz japońskiego (Canis hodophylax)". Otóż zaznaczyć trzeba, że wszystkie wyżej wymienione nazwy dotyczą różnych gatunków wilków, nie zaś jakichkolwiek odmian. Wątpliwość może tu dotyczyć tylko wilka północno-amerykańskiego, który według niektórych autorów stanowi tylko odmianę wilka eurazjatyckiego; zresztą sam Schäff, na którego się autor powołuje, skłania się raczej do poglądu, że *Canis occidentalis* jest to osobny gatunek.

Być może, wynikło tu nieporozumienie, wskutek tego, że autor zamiast słowa „gatunek" użył słowa „odmiana".

Co się tyczy zmienności w ubarwieniu wilka w zależności od położenia geograficznego, a więc jego geograficznych odmian czyli podgatunków, to nie ulega wątpliwości, że u *Canis lupus* istnieje ich bardzo wiele.

Słusznie też autor pisze: „Wielki wpływ na barwę uwłosienia ma geograficzna szerokość, pod którą przebywają wilki. Czem więcej na północ, tem włos jest jaśniejszy. Północno - amerykańskie w Grenlandji są już białawe, to też było powodem zaliczenia ich do osobnej odmiany tak zwanej „białego wilka". W uwłosieniu północno-syberyjskich wilków również przeważa kolor biały, a więc i te są od naszych bez porównania jaśniejsze".

Podgatunki *Canis lupus* nie zostały dotychczas pod względem naukowym dostatecznie opracowane. Wyróżniono ich dotychczas zaledwie 5; są nimi:

Canis lupus signatus Cabrera opisany ze środkowej Hiszpanji.

Canis lupus deitanus Cabrera opisany z Hiszpanji połudn.-wschodniej,

Canis lupus italicus Altobello opisany z Abruzzów.

Canis lupus altaicus Noack opisany z Altaju.

Canis lupus japonicus Nehring opisany z północnej Japonji.

Można jednak z całą pewnością twierdzić, że na olbrzymich przestrzeniach zajmowanych przez wilka w Eurazji, tworzy on znacznie większą ilość podgatunków.

Co się tyczy wilków czarnych, znanych w nauce pod nazwami *Canis lycaon i Canis niger*, to nie ulega wątpliwości, że są to okazy melanistyczne, których występowanie nie jest ściśle związane z jakąś krainą geograficzną. Inaczej, jak sądzić można, ma się sprawa z północnemi wilkami białemi, opisanemi z Syberji pod nazwą *Canis lupus altus*, te zdaje się stanowią osobny podgatunek, zamieszkujący północne krańce Syberji. Niezbyt ścisłe są dane autora o występowaniu wilków w Niemczech przedwojennych. Ostatni wilk w Poznańskiem za czasów przynależności jego do cesarstwa padł w roku 1913, a nie w roku 1897.

Do ciekawych danych autora o szkodach czynionych przez wilki w Rosji dodać tylko mogę, że według statystyki, przeprowadzonej niezależnie przez księcia Urusowa i N. Turkina, zabijano w Rosji przed wojną 15.000 wilków rocznie.

Przechodząc do biologicznych właściwości wilka, to pozwolę sobie uczynić uwagę, że ilość młodych dochodzi w wyjątkowych razach do 10, a nawet 12.

Ostatni rozdział omawianej książki traktuje „Podania i przesądy o wilku". Jest on niestety, bardzo krótki. W naszej lteraturze naukowej możnaby z łatwością znaleźć ogromną ilość materjałów w tym kierunku. Nie wątpię, że autor dlatego tak mało napisał o tem, że był skrępowany objętością książki.

Kończąc, chciałbym tu jeszcze sprostować dwie nieścisłości autora. Mianowicie czarny, melanistyczny okaz wilka znajduje się w posiadaniu „Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie", a nie „Warszawskiego Towarzystwa Myśliwskiego" jak to podaje p. Świętorzecki. Drugie sprostowanie dotyczy kwestjonarjuszy w sprawie rozmieszczenia zwierzyny łownej w Polsce. Zostały one wydane i rozesłane nie przez Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, lecz przez Małopolskie Towarzystwo Łowieckie.

Położenie jaj w gniazdach ptaków.

Mało kto dotychczas zastanawiał się nad położeniem jaj w gniazdach ptaków. Jest to jednak sprawa bardzo ciekawa, a jak wykazał niedawno niemiecki ornitolog Robert Lauterborn, podlega ona ściśle dającym się ująć prawom. Okazuje się więc, że jaja rozłożone są w gnieździe zawsze w ten sposób, że leżą równomiernie po dwóch stronach płaszczyzny symetrji wysiadującego je ptaka, pozatem są one naturalnie umieszczone możliwie ściśle. Dzięki temu właśnie wszystkie jaja w gnieździe są równomiernie ogrzewane. Jeśli w gnieździe znajdują się dwa jaja, to leżą one obok siebie w ten sposób, że ich podłużne osi symetrji są do siebie równoległe, lub też od równoległości odchylają się stosunkowo mało; cieńsze końce jaj mogą być zwrócone w jednym kierunku lub też w dwóch kierunkach sobie przeciwnych. Gdy w gnieździe znajdują się trzy jaja, to tworzą one zwykle formę listka koniczyny (patrz rys. 1); niekiedy zresztą leżą one tak, jak to wskazuje rycina druga.



Gdy w gnieździe znajdują się cztery jaja, to są one ułożone bądź to na krzyż, bądź też leżą parami równolegle koło siebie. Niekiedy jedno jajo leży poprzecznie, trzy zaś pozostałe niezależnie od

niego tworzą kształt liścia koniczyny. W zniesieniach z pięciu sztuk są jaja ułożone gwiaździsto, cieńszemi końcami do środka; to samo ma miejsce przy sześciu jajach. Niekiedy jednak przy sześciu jajach jedno leży po środku, pozostałe zaś są rozłożone dokoła niego na kształt wianka. Mamy tu więc do czynienia z jajami środkowemi i zewnętrznemi. W zniesieniach składających się z większej ilości, ilość jaj środkowych wzrasta, tak np. przy ośmiu ilość jaj środkowych równa się dwóm.

Zachodzi teraz pytanie, co jest przyczyną takiego położenia jaj w gniazdach? Otóż przy małej ilości jaj, powiedzmy nie większej od czterech, można przypuszczać mieszanie się do sprawy samego wysiadującego ptaka. Co zaś do większej ilości jaj, to rozkład ich wyjaśnia nam eksperyment. Jeśli mianowicie włożymy do czapki, która kształtem swoim przypomina nam gniazdo, większą ilość jaj, i następnie będziemy poruszali w środku ręką, lekko odpychając jaja od środka ku zewnątrz, to w rezultacie naszego działania jaja ułożą się tak właśnie, jak leżą w gnieździe — z zachowaniem określonej symetrji. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że ptak siedząc na jajach, wywiera na nie pewne ciśnienie, w rezultacie którego jaja automatycznie układają się w określonym porządku.

KRONIKA MYŚLIWSKA.





(Prosimy Szanownych Czytelników o łaskawe nadsyłanie wiadomości do Kroniki myśliwskiej, z podaniem opolowanego obszaru i rodzaju terenu (las, pole) oraz nazwiska osoby prowadzącej hodowlę, bez względu na słabe rezultaty polowania. Wiadomości te są bardzo ważne dla statystyki łowieckiej).

W celach statystycznych uzupełniamy w najtreściwszych słowach wyniki polowań ubiegłego sezonu szczegółami z innych pism łowieckich, w „Łowcu Polskim" niepodanemi:

W Małopolsce:

Ławą w 9 strzelb na polach gmin Surochów-Szówsko u Witolda ks. Czartoryskiego 708 zajęcy.

W dobrach Pełkińskich tegoż:

Wierzbna, pola, kociołki, 14 strzelb: 187 zajęcy.

„Bór", w lesie miotami w 10 strz., 2 lisy, 43 zaj., 1 cietrzew, 2 słonki.

Witoldówka rewir III, las ławą w 10: 3 lisy, 49 zajęcy.

Pod Radawą rew. V las miot., w 12: lis, 40 zaj.

Łapajówka r. V, l. miot., w 20: 2 rogacze, 40 zajęcy.

Zaradawa r. II, l. m., w 11: 42 zaj.

Górki r. IV, l. m. i ławą, w 10: 4 lisy, 219 zaj.

Surochów, p. koc. w 11: 132 zaj.

Ryszkowa Wola, p. k., w 12: 189 zaj.

Górki r. I., p. i l., w 12: rogacz, 62 zaj.

Cetula, p. k., w 10: 63 zaj.

Rew. I i III, w lesie z psami, w 10: 9 dzików, w czem odyniec krasy.

Tamże, w 8: 2 dziki.

Rew. II i V, l. p., w 5: 1 dzik.

Pod Przemyślanami:

Białe, w 9: 15 zaj.

Błotnia, w 4: 57 zaj.

Czupernosów, w 15: 29 zaj.

Huta, w 11: lis i 19 zaj.

Uniów, w 11: 17 zaj.

Uszkowice, w 12: 17 zaj.

Wypyski, w 5: lis, 39 zaj.

Wołków, w 11: 22 zaj.

W Ordynacji Dawidgródeckiej Karola Księcia Radziwiłła w sezonie wiosennym na tokach zabito 35 głuszców i 121 cietrzewi oraz na dwóch polowaniach z krykuchami zabito 429 kaczorów.

Korespondencja „Łowca Polskiego".

Gródek Jagiel. Województwo lwowskie 24.V 1926.

Na zjeździe (sejmiku) myśliwskim tut. powiatu zwołanym dnia 16 maja b. r. przez delegatów Małop. Tow. Łowieckiego do Janowa zapadły następujące uchwały:

1. Celem podniesienia stanu i doboru sarn nie strzelać w zimie rogaczy, z wyjątkiem myłkusów, strzelać jedynie kulami i odstrzeliwać kozy, notorycznie jako jałowe rozpoznane.

2. Celem pomnożenia stanu zajęcy rozpoczynać polowanie na nie dopiero od połowy października —

nie polować zupełnie na podchodnego (na pomyka) — w kniei nie strzelać zajęcy przez cały październik, a koty opolowywać jedynie do ¾ obwodu.

3. Lisów nie strzelać od 1.II do 30.IX i zaniechać zupełnie tępienie ich żelazami lub trucizną dla zysku, o ile nie zachodzi konieczna potrzeba ze względu na gospodarkę łowiecką.

4. Samur (macior) nie strzelać od 1.II do 1.VII — o ile nie wyrządzają dotkliwych szkód w ziemiopłodach rolników.

5. Oszczędzać kaczki krzyżówki, strzelając jedynie do kaczorów, zwłaszcza gdy je po jesiennem wypierzeniu łatwo rozpoznać można.

6. Ochraniać ptactwo drapieżne dla łowiectwa nieszkodliwe.

7. Łączyć drobne obszary łowieckie w większe komplety celem prowadzenia racjonalnej gospodarki łowieckiej.

Dr. H. Malsburg
Delegat Mał. Tow. Łow.

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

W czerwcu wolno jest polować w poszczególnych prowincjach Polski na następującą zwierzynę:

W b. Królestwie Polskiem: na rogacze, głuszce (koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty) i kaczory.

Na Kresach Wschodnich: na rogacze (od 15 czerwca), na kaczory (do 15 czerwca).

W Małopolsce: na rogacze.

Na Śląsku Cieszyńskim: na rogacze.

Na Pomorzu, w Poznańskiem i na Górnym Śląsku: na rogacze.

Pozatem we wszystkich dzielnicach wolno polować na zwierzęta drapieżne lub uznane za szkodliwe. Zwracamy uwagę, że dla poszczególnych powiatów, a nawet województw były wydawane specjalne czasowe ograniczenia, o których zainteresowani w tem myśliwi nie powinni zapominać.

Wiadomości bieżące.

Kary za noszenie broni bez zezwolenia władz.

Komisarjat rządu w Warszawie (ekspozytura IV) skazał za nieodnowienie zezwolenia na broń 57 osób na grzywnę w wysokości 886 złotych.

Strzelanie nad Wisłą.

Amatorzy polowania na ptactwo wodne urządzali sobie dotychczas ten sport nietylko na samej Wiśle, ale i z obu jej brzegów, nie troszcząc się o bezpieczeństwo osób, znajdujących się na rzece, lub w jej pobliżu. Chcąc zapobiec nieszczęśliwym wypadkom, zachodzącym z tego powodu, starostwo warszawskie wydało zakaz urządzania tego rodzaju polowań, a władze wojskowe powtórzyły go z poleceniem ścisłego stosowania się do tego zakazu. Zakaz polowania, wydany przez starostwo warszawskie, stosuje się do strzelania z różnych typów broni palnej, nie wyłączając flowerów i obejmuje odcinek od Siekierek do Góry Kalwarji, tudzież od Bielan do Modlina. Oczywiście ten sam zakaz obowiązuje także i przedewszystkiem na terenie Wielkiej Warszawy.

Równocześnie zakazanem zostało strzelanie wzdłuż powyższych odcinków na przestrzeni 100 metrów od linji Wisły.

Z przemysłu futrzanego.

W Lipsku odbyły się sowieckie przetargi futrzane. Przetargi urządzone były na rachunek przedsiębiorstwa handlowego sowietów w Berlinie. Większa część towarów dostarczona była przez Tow. handlowe „Centrosojuz“. Po stronie kupców oprócz komisjonerów lipskich, którzy kupowali dużo na zlecenie zagranicy, brały udział w przetargach firmy amerykańskie, francuskie, angielskie oraz kilka firm włoskich. Za skóry płacono: wiewiórki syberyjskie — dol. 1.70, lisy białe osiągnęły cenę do 50 dol., kuny leśne do 20 dol., kuny kamionki do 16 dol., tchórze białe — cena najwyższa wynosiła dol. 3.60, tchórze czarne najwyższa cena dol. 3.30, gronostaje — towar wyborowy osiągnął cenę dol. 3.85. Przebieg licytacji był w ogólności żywy, wynik przetargów można nazwać zadowalającym. Fakt, że jako kupcy wystepowały przeważnie firmy zagraniczne, a w znacznie mniejszej liczbie firmy niemieckie, jest znamienny dla położenia rynku lipskiego i jego roli w futrzarstwie międzynarodowem.

Na Śląsku poczyna się coraz wydatniej krzewić hodowla zwierząt futerkowych. Jak doświadczenie wykazuje, daje ona korzyści nierównie większe od każdej innej hodowli. Chodzi o bardzo umiejętne hodowanie kilku gatunków zwierząt razem, np. lisów, kun, królików, z których każde daje futro, a jednocześnie mięso dla innych okazów. Sprawa nie jest tak prosta, jak się wydaje. Dziś farmy hodowlane muszą mieć rzeźnie, chłodnie i cały szereg innych urządzeń nieraz bardzo skomplikowanych.

Łoś zabłąkany.

D. 24.V. r. b. pod Białymstokiem mieszkańcy wsi Radzie gm., Dolistów w bestjalski sposób znęcali się nad zabłąkanym łosiem. Skąd przywędrował — niewiadomo. Widziano go we wsi Kulesze. Łoś nie mógł uciekać, gdyż miał odłamaną racicę. Pasł się razem z bydłem i końmi na pastwisku wsi Radzie. Mieszkańcy otoczyli go i ukamienowali. Policja sporządziła protokuł, mięso - sprzedano w drodze licytacji, zaś skórę przywieziono do województwa.

Z poznańskiego ogrodu zoologicznego.

Ministerjum skarbu wskutek osobistej prośby dyrektora ogrodu zoologicznego w Poznaniu, zaniesionej do b. ministra Zdziechowskiego podczas jego pobytu w Poznaniu, postanowiło uwolnić od opłat celnych ryby, przywożone jako pokarm dla zwierząt wodnych w poznańskim ogrodzie zoologicznym.

Szympans, będący darem p. Ossendowskiego dla poznańskiego Ogrodu Zoologicznego, zdechł. Śmierć szympansa nastąpiła nagle z powodu zbyt silnie rozwiniętej choroby płuc. Szympans w drodze do Poznania uległ silnemu przeziębieniu, co wywołało zgon zwierzęcia. Ogród zoologiczny powetuje sobie utratę szympansa nowym okazem małpiego rodu, o którym dyrekcja Ogrodu Zoologicznego w najbliższym czasie poda szczegóły do publicznej wiadomości.

Ochrona ptactwa leśnego.

Od 18-go stycznia r. b. istnieje w Łodzi Stowarzyszenie hodowców kanarków i ochrony ptactwa leśnego p. n. „Kanarek“, które pomyślnie się rozwija, gdyż w stosunkowo krótkim czasie posiada już około 40 członków. Stow. mieści się przy ul. Piotrkowskiej Nr. 292, w lokalu p. F. Bittnera.

Walka z kłusownikiem.

Dnia 26 maja dozorca jezior państwowych Franciszek Miszkiel zauważył na jeziorze Gremzdel

w Suwalskiem kłusownika, jak się później okazało, Franciszka Gołubowicza ze wsi Jeglówek gm. Sejwy. Gołubowicz usiłował stawiać czynny opór i postrzelony został przez Miszkiela. Gołubowicz lekko ranny pozostaje na kuracji w domu.

Wilki.

Wściekłe wilki pojawiły się na granicy województwa tarnopolskiego, w okolicy między Łanowcami a Zdobunowem, i to w większej liczbie. Pokąsani przez wilki zostali włościanie Michał Łazarczuk i N. Zieliński. Zieliński pokąsał przed swym zgonem jeszcze 8 osób, które są w leczeniu.

Dziennik Suwalski pisze:

We wsi Ingiel wilk wśród białego dnia porwał owcę. Jeżeli w takich małych lasach, jak położone w pobliżu obręby Kociołki i Jałowo wilki rozpanoszyły się do tego stopnia, że w dzień porywają inwentarz rolnika, to można sobie wyobrazić, co się musi dziać we wsiach położonych wśród dużych lasów Suwalszczyzny.

W okolicy wsi Sporowa, pow. kosowskim, ukazało się liczne stado wilków, które jest prawdziwą plagą dla mieszkańców wsi tamtejszych. Wilki zagryzły 30 owiec, należących do mieszkańców wymienionej wsi, Teodora Obolca i Ignacego Karłowicza. Z 15 owiec pozostały tylko kości, pozostałe zaś drapieżne stworzenia zadusiły.

Upolowanie sępa.

P. Michalakowi w Szachowie w pow. gostyńskim udało się złowić sępa. Jest to bardzo piękny okaz o rozpiętości skrzydeł 2.70 mtr. Sęp prawdopodobnie przybłąkał się z dalekich stron do Polski.

Dwa żórawie na jeden strzał.

W Działdowie, nauczycielowi p. Jagielskiemu powiodło się na terenie polowania w Murawkach zastrzelić jednym strzałem, na odległość 100 metrów w powietrzu, dwa żórawie. Jeden z ptaków mierzy 125 cm. Żórawie należą do największych i dość mało spotykanych ptaków brodzących w Polsce.

Polowania w majątkach Państwowego Banku Rolnego.

Państwowy Bank Rolny ogłosił przetarg na wydzierżawienie polowania w następujących majątkach: Telechany, pow. Kosowskiego (woj. Poleskie) 3266 hektarów; teren bardzo dobry; zwierzyna: sarny, dziki, wilki, lisy, zające; bielaki, rysie, głuszce i jarząbki, wywoławcza cena dzierżawna — 1½ kg. żyta z hektara wzwyż. Wysock pow. Stoliński (woj. Poleskie) 8360 hektarów; zwierzyna: wilki, lisy i zające. Obhowo-Harby, gm. Sudobicze, pow. Dubieński (woj. Wołyńskie) 3.404 hektary; w obu ostatnich majątkach zwierzyna: dziki, lisy, zające, sarny i głuszce; cena wywoławcza dzierżawna wynosi 1 kg. żyta z hektara wzwyż. Państwowy Bank Rolny zastrzegł sobie prawo wyboru kandydata na dzierżawę, niezależnie od wysokości zadeklarowanej tenuty.

Pelikan pod Lipnem.

Magistrat m. Lipna sporządził protokół tej treści:

„Dnia 29 kwietnia r. b. zgłosił sie do magistratu miasta Lipna p. Witecki Cezarjusz zamieszkały w Lipnie i oświadczył, że dnia 28-go kwietnia roku bieżącego o godzinie 5 minut 30 po południu, w obecności Piotra Janowskiego, sekretarza magistratu m. Lipna, Bohdana Wolskiego, nauczyciela gimnazjum państwowego w Lipnie i Jana Rozaiskiego, urzędnika magistratu m. Lipna, wszystkich zamieszkałych w Lipnie, na rzece Mień na terytorjum Lipna zabił pelikana wagi siedemnaście i pół (17½) kilogramów o 3 metr. 20 centymetr, przy rozpięciu skrzydeł. Wobec tego, iż powyższy wypadek jest dotychczas niebywały w dziejach Lipna i okolicy, sporządzono niniejszy protokół, który podpisani po odczytaniu podpisali".— (Następują podpisy: burmistrza, sekretarza magistratu oraz wszystkich wspomnianych powyżej panów).

Ze stowarzyszeń łowieckich.

Lubelskie Tow. Łow. będące w posiadaniu przeszło 50.000 mórg terenu na polowania, roztacza pieczołowitą opiekę nad poprawieniem zwierzostanu. Z nastaniem zimy ustawiane są w licznych punktach żłobki i drabinki, w których zające i sarny dostają odpowiedni dla siebie karm, jak siano, koniczynę, marchew i t. p. Zaciętą walkę wypowiedziało T-wo kłusownictwu i wnykarzom. Chcąc walkę tę uczynić tem skuteczniejszą, T-wo wypłaca funkcj. policyjnym tytułem nagrody za każdego ujętego kłusownika lub wnykarza i za każdą odebraną strzelbę złp. 20. Najgorsza plaga to wnykarze, i ci też są najsurowiej prześladowani. Opieka wydaje jaknajlepsze rezultaty i stan zwierzyny w stosunku do lat ub. poprawił się już pięciokrotnie i poprawia się stale.

Zawody strzeleckie.

Grono amatorów sportu strzeleckiego w Sosnowcu, już od roku uprawia w lokalu prywatnym ćwiczenia w strzelaniu zarówno ze sztucerków, jak i pistoletów kal. 22.

Strzelania odbywają się na dystansie 18 metrów do tarczy wzoru olimpijskiego proporcjonalnie zmniejszonej.

Dotychczasowe rekordy wynoszą:
Dla pań — ze sztucerka 88 punktów.
Dla panów — ze sztucerka 96 punktów.
Dla panów — z pistoletu 85 punktów.

K. S.

Ze Strzelnicy Polsk. Tow. Łow. w Warszawie.

Dnia 1, 2 i 3 z. m. na strzelnicy P. T. Ł. nie żałowano amunicji, tak, że dn. 3 już nawet jej zupełnie zabrakło około godz. 18.

W czasie tym najpierw odbył się konkurs młodzieży szkolnej, gdzie strzelał zespół gimn. Rontha-lera. Wyróżnili się zaś pp.: Bajer Bogd. i Pniewski.

W drugim dniu odbył się 27 „dzień Zachęty", który przyniósł zwycięstwo p. Turowskiemu (A. Z. S.). Konkurs najgorszej tarczy wygrał p. Kołacz (A. Z. S.), wybijając na trzy strzały 3 pkt..

Dn. 3-go odbył się konkurs 28 „Zachęty", na którym jednak pod koniec zabrakło amunicji. Sierż. Kurowski (56 p. p.) osiągnął 88 pkt.

W dalszym ciągu konkursu dla szkół średnich, strzelali dn. 6-go uczniowie gimn. św. Wojciecha, przyczem wyróżnił się p. Kowerski.

Z gimn. Szwarcmana wyróżnili się Kapłan i Zilberwaser.

Na strzelnicy P.T.Ł. odbył się w niedzielę dn. 24.V 29-ty dzień zachęty, który przyniósł zwycięstwo p. Bawolikowi 89 pkt.

Na nowej strzelnicy w parku Skaryszewskim odbył się turniej otwarcia z wynikiem następującym: 1) p. Bibel 92 pkt., 2) p. Szczęsik 74 pkt. Frekwencja na strzelnicy olbrzymia, do konkursu startowało bowiem 197 zawodników, przy udziale około 5 tys. widzów.

Na strzelnicy w Parku Skaryszewskim dn. 6-go b. m. pierwszą nagrodę zdobył mjr. Żołędziowski, 88 pkt. przed p. Szczepańskim, 81 pkt. Poza konkursem sierż. Kurowski 92 pkt. W konkursie pań wygrała p. Bujalska 88 pkt. W zawodach brało udział 230 osób.

Na strzelnicy P.T.Ł. w 31 dniu „Zachęty" konkurs senjorów wygrał p. Rutecki 86 pkt., w konkursie zaś junjorów 11-letni Wacek Luksenburg.

Celem uprzyjemnienia przebywającym na strzelnicy P.T.Ł. (Nowy-Świat 35) gościom, zarząd strzelnicy zorganizował koncerty radjowe codziennie od godziny 17—20.

Dn. 9.V wygrał w konkurencji senjorów p. Gibess 84 pkt. W konkurencji dla młodzików wyróżnili się bracia Ancuta, Zieliński, Ikausz i Radziejewski. Wszyscy oni mieli od 7 do 12 lat.

Poza nagrodami P.T.Ł. zaofiarował p. Czesław Lisowski przepiękny karabinek precyzyjny, p. J. Rokicki trzy wielkie medale. Frekwencja w niedziele b. liczna, w dnie powszednie mniejsza. Ale tylko czasowo, bo zacznie strzelać młodzież przysp. wojskowego. Na ten cel strzelnica otrzymała 100.000 kul z M. S. Wojsk. do podziału.

Za redaktora: Janusz Domaniewski. Wydawca: Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich.

Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka Ordynacka 3, tel. 44-59.